





1,474,307

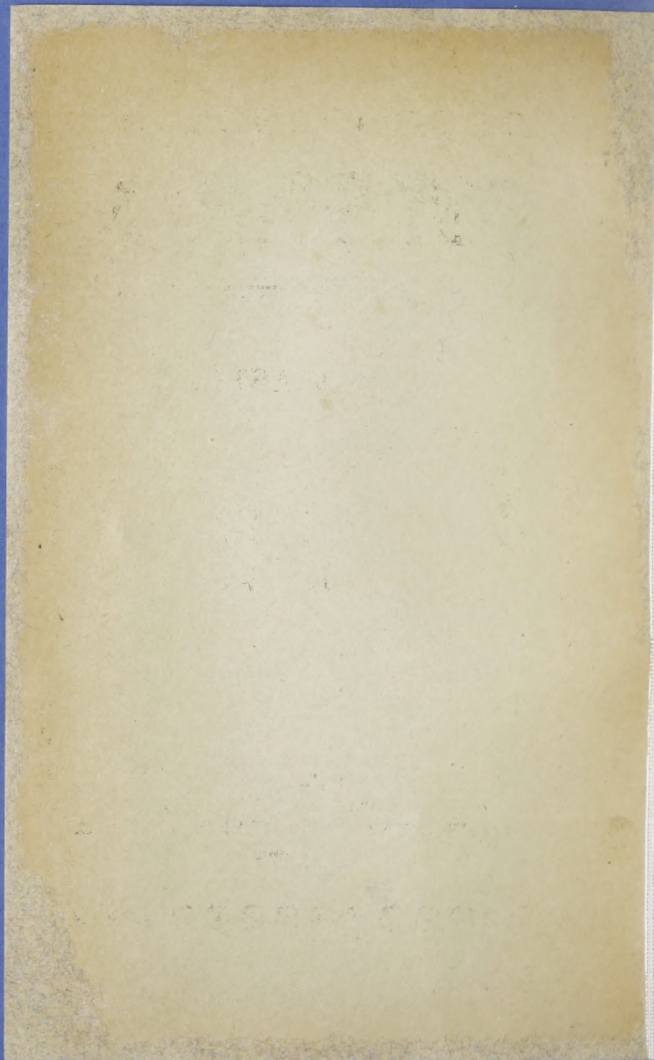
BOSY PAN



POWIASTKA.



CHICAGO, ILL.
Drukiem i Nakładem,
W. DYNIEWICZ PUBLISHING & CO.,
1909.



BOSY PAN



POWIASTKA.



CHICAGO, ILL.
Drukiem i Nakładem,
W. DYNIEWICZ PUBLISHING CO.,
1909.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001005139318



I 1.474.307



1991 K 1110/29

I. Salusia.

W Zawadach, wsi leżącej w stronach Augustowskich, słynnych z jezior, mieszkał sobie z nieliczną rodziną Szymon Jasiewicz, dobry gospodarz, człek rozsądny i pracowity.

Nieźle mu się też działo. A że był człowiekiem uczynnym, sumiennym, no i zamożnym, więc miał dużo przyjaciół we wsi. Ba, nawet nie tylko we wsi, bo żył w przyjaźni i z właścicielem blizkiego folwarku, panem Święckim, który co niedziela wstępował do Szymona na pogawędkę.

— Wiesz, Marysiu, — mówił raz Szymon do żony, —

bardzo bym się ucieszył, gdyby tak zjawił się ten Dworzeski. Długo już jakoś go nie widać, a byłby mi teraz bardzo potrzebny.

— E, taki wietrznik! — odrzekła Jasiewiczowa.

Spojrzał Szymon na żonę i mówi dalej:

— Ty bo dobrze go nie znasz. Prawda, figlarz, lubi pożartować i ludzi rozśmieszyć, ale nie taki on wietrznik, jak ci się zdaje. Choć zawsze wesoly, ale to mądra sztuka. A przytem to człek uczciwy, jakich mało. Przecież był u nas w Zawadach przez pięć lat nauczycielem, a krzywdy nigdy nikomu nie zrobił, był jeszcze ludziom pomocny, a i mnie parę razy

dobrze poradził. A czyś ty zapomniała, jak go dzieci kochały, jak chętnie szły do nauki? Ba, a nasza Saluta....

— To i co Saluta? — odbunknęła Szymonowa; — Salukę ja sama chowałam, nie on! Nauczył ją tylko czytać i tyle!

Szymon tym razem nie miał ochoty sprzeczać się z żoną, więc zamilkł, choć mógł dopowiedzieć, że Saluta prócz czytania i pisać dobrze umie, i ma dużo różnych wiadomości.

Oprócz nauki miała Salusia i inne zalety. Była ohotna do roboty, posłuszna, umiała starszych szanować, a co skromność to miała wrodzoną.

Dobijał się o nią gwałtem Dydak Kostrzyca, syn sąsiada, któremu dawniej jeszcze Szymonowa już prawie przyrzekła oddać Salutę za synowę. Szymon wiedział o tem, nie sprzeciwiał się żonie, ale był w wielkim kłopotcie, gdyż Salka na każde wspomnienie o Dydaku smutniała, czasem nawet zalewała się łzami, a razu pewnego przy panu Święckim powiedziała, że woli umrzeć niż zostać żoną Dydaka.

Jednakowoż Dydak i ojciec jego nie zważali na te grymasy dziewczyny. Mając szczególną łaskę u Szymonowej, przymawiali się już nieraz, to jeden, to drugi, że

czas by Salce wyprawić weselisko.

Szymon Jasiewicz stał temu na przeszkodzie, bo nie chciał córki przyniewalać; ale też i odmawiać Dydakowi nie był rad, boć to jedynak zamożnego gospodarza.

Przytem, co prawda, i odwagi Szymonowi brakowało, wiedział bowiem, że Dydak to chłop gwałtowny i mściwy jeszcze by gotów co złego zrobić....

II. Plotkarka.

Nazajutrz po rozmowie Jasiewicza z żoną, Szymonowa dodnia krzątała się już w pierwszej izbie, wołając na parobczaka:

— Franek, wstawaj! jeszcze ci nie dość spać?!

Kończyła już śpiewać godzinki, kiedy weszła Kłosowa, co mieszkała w domu Jasiewiczów po drugiej stronie. Szymonowa jej nie lubiła, bo to była znana we wsi plotkarka. Ot, i teraz niedawno rozgadała, jakoby Salusia udała się panu Święckiemu. Wzywano tę babę nieraz do chorych we wsi, a mawiano też o niej, że się zna i na czarach.

— Przyszłam pożyczyć u was, kumeńko, kilka węgielków, bo mi zapalek zabrakło,
— rzekła Kłosowa.

A pochwili biorąc węgielki powiada:

— Wasz był wczoraj w mieście?

— Był — odpowiada Szymonowa.

— Może co kupił dla Salki? pewno tego roku wydacie ją zamąż.

— Nam nie pilno.

— Bodaj wam nie pilno!... Ona taka delikatna!.. Dydak Kostrzyca wczoraj mówił, że wy przyrzekli mu dawno dać Salkę i że dłużej czekać nie będzie; niema co, chłop galanty, syn najbogatszego gospodarza.

— Przyrzekłam mu Salkę, to prawda, ale com ja winna, że ona go nie chce.

— W wiosce każdyby oddał dziewczkę Kostrzycy.

— To dajcie swoją! — odrzekła Szymonowa, bo wiedziała, że Kłosowa radaby Dydaka odciągnąć dla swojej Magdy. —

Salce dopiero dziewiętnasty rok, może zaczekać.

— A i mojej nie wiele co więcej, dopiero dwudziesty rok — rzekła Kłosowa.

— Aha, dwudziesty rok.... tylko na jeden bok! — odezwał się Franek drąc błonki.

— Ty smarkaczu! nie mieszaj się tu! — zgromiła urażona Kłosowa.

— Ja tylko mówię co jest. Dydak nie wziąłby waszcej Magdy; mówi, że ona będzie taką jak i matka.

— Albo co ja?

— No co, toć ludzie mówią,
że czarować umiecie.

Kłosowa zaperzyła się o-
kropnie.

— Ja ci, psie mięso!....

I mówiąc te słowa, a por-
wawszy polano, Kłosowa da-
lej do Franka! Ten w nogi
na podwórze, ona za nim.
Już, już miała go uderzyć, a-
le chłopak hrym! niby upadł
zwinnie pod nogi Kłosowej,
a ta przez niego bęc! jak dłu-
ga na ziemię.... Zbiła mo-
cno brodę i język przycięła,
tak, że nie mogła nic wymo-
wić.

III. Bosy gość.

W parę godzin po owym
upadku Kłosowej wszedł do

Szymonów ów pożądaný pan Dworzecki, były nauczyciel Salki. Lat mógł mieć ze trzydzieści. Był w czarnem ubraniu, z kapeluszem w ręku, ale... bosy.

Po serdecznem przywitaniu gość wybuchnął:

— Pfuj! do kroćset! jestem zły jak.. jak... ha! spo-
ciłem się jak licho jakie! Ale bo i ludzie tutaj wytykali
mię palcami, wołając: bosy
pan, bosy pan! Nawet psi-
ska potraciły łby, obwachi-
wały mię ze wszystkich
stron, zamiast szczekać jak
zwykle. Albo i ten Franek!
Jak mię zobaczył, tak śmieje
się i śmieje! Zapomniawszy
żem bosy, tupnąłem na nie-
go, żeby milczał, ale takim

sobie stłukł piętę o kamień, że podskoczyłem kilka razy na jednej nodze. Kładcie no, Szymonie, . . . podać mi swoje buty, a jutro raniuteńko ślijcie Franka z miarą do miasta!

Wtem wbiega do izby Salsusia wiedząc już o przybyciu gościa. Ucałowała go w ramię, a on ją w czoło.

— Dziewczyna, jak malina! — rzekł Dworzecki, wystawiając jedną nogę naprzód gdyż zapomniał znów, że jest bosy.

— Matko Boża! — zawołała Salka, — a wam panie, co się stało, że jesteście bosy?

— Franek. cymbale! dasz



mi buty? — krzyknął Dworzecki.

— Kiedy tylko jeden znalazł..

— Dawaj choć jeden!

— A może i jednego starczy, bo to buciak duży, niczego — rzekł Franek.

— Cha-cha-cha! śmiał się już wesoły gość, a zwracając się do Salki powiada:

— Nie pytaj dziecko. co się stało, że jestem bosy. O tem powiem kiedy indziej, bo dziś jestem bardzo rozdrażniony.

Na wiadomość o przybyciu Dworzeckiego przyszedł zaraz do Jasiewiczów i sołtys Kapuściński. Zaczęła się rozmowa. Gość opowiadał, co słyszał nowego w Suwałkach, co piszą w gazetach itd.

Kiedy nagawędzili się już trochę, gospodyni przyniosła do izby jadło na paru talerzach. Była tam wędlina, była jajecznicą i śledzi parę. Za nią zaś weszła Kłosowa z butelczyną i kieliszkiem w rękę.

Goście z gospodarzem zaczęli się posilać, a Kłosowa nie mogąc spokojnie usiedzieć, zaczyna:

— Kumeńko moja, cobym ja robiła, żeby nie wy! A i Salka to szczera. Ale Dydak ot...

— Cóż to za Dydak? — pyta Dworzecki.

— A to kawaler Saluty — odpowiada szeptem Kłosowa. — szaleje za nią. — A głośniejsz dodaje: — Młody,

bogaty, ale zły, siarczyście zły! Jabym nie dała jemu swojej Magdy! To niedobry człowiek, oj nie! wy mnie nie gadajcie, bo...

Salusia na to gadanie Kłósowej wymknęła się cichaczem z izby. Poszła do Magdy i umówiwszy się, obie pobiegły do lasu, żeby zbierać jagód na jutro dla gościa.

— To co, Szymonie? — pytał Dworzecki, — córka ma narzeczonego?

— A łązi tu taki pustak, tylko jak się widzi, to Salka nie lubi go.

— Ahaaa — podchwyciła Kłósowa, — z początku lubiła, ale jak ten pan zaczął tu chodzić...

— Jaki pan? — pyta Dworzecki, — może Święcki?

Szymon zęgnął się patrząc na Kłosową.

A Franek, który tylko co się ocknął z drzemki, pluł głośno, choć nie wiedział, o co idzie.

— No, nie gniewajcie się, kumie! za com kupiła, za to sprzedaje — tłumaczyła się Kłosowa.

— O! o! — zaczął Franek.

Ale Kłosowa wnet wyszła, bo nie lubiła z nim gadać.

IV. Obława.

Było już samo południe, kiedy gospodarz Jasiewicz, sołtys Kapuściński i nauczyciel Dworzecki, gwarząc między sobą o czemś bardzo

ważnem dla całej wsi i gminy, posłyszeli nagle jakiś hałas i szczekanie psów. Do wsi wpadło pięciu jeźdźców na spienionych koniach. Jadący na przedzie pochwycił u boku wiszący róg, i począł trąbić, a następnie strzelił z rewolweru.

We wsi zrobiło się wielkie zamieszanie. Trąbienie, krzyki przestraszonych kobiet, wrzask dzieci, wszystko to połączone z przeraźliwym wyciem psów wioskowych, napełniło powietrze jakimś dziwnym gwarem.

Jeźdźcy zatrzymali się tuż przed domem Szymona. Dowodca ich z rozdzieloną na dwie strony rudą brodą, z ostrogami u butów, zeskoczył

z konia, wpadł do izby i zażądał czegoś śmiało do wypicia i zagryzienia; a jeden z pozostałych doręczył sołtysowi nakaz co do obławy, zalecając pośpiech, gdyż z innej wsi ludzie już byli w lesie.

Podobno zeszłej nocy pokazały się w lesie wilki, o czem jednak w Zawadach jeszcze nie wiadano.

Kiedy jeźdźcy wyszli na chwilę do swych koni, Dworzeczki rzekł do gospodarza:

— To jest Ordyniec, plenipotent naddzierżawcy Markowskiego. Zawsze mu coś strzeli do głowy. Znam go dobrze. Niedawno pobudował Markowskiemu dwa duże statki, jakby okręty, które wkrótce zatoneły na węgier-

skich jeziorach, nieukończono-
ne jezere, a i sam o mała nie
poszedł z niemi na dno.

Po chwili Ordyniec wrócił
do izby, a zastawszy przygo-
towany posiłek, zaczął jeść,
przyglądając się zarazem z
ukosa gromadce dziewcząt,
które przez ciekawość przy-
biegły do Jasiewiczów. Po-
tem przerwawszy jedzenie,
zaśpiewał półgłosem:

Hej dziewczynę, co mnie
nie chce,

raptem w sercu coś załech-
ce.

Nie patrz na mnie, tak jak
kotka

bo cię weźmie wnet ochot-
ka.

Drugą zwrotkę rozpoczął

kieliszkiem, a obierając tylko co podane jaja, kończył:

We trzech krają — jedno
jajo,
we czterech jedzą, da je-
dzą.

Dziewczęta śmiały się głośno, a Ordyniec chwycił czapkę, podziękował gospodyni, Szymona ścisnął za rękę, wyszedł, dosiadł konia i pomknął za ludźmi, którzy już dobiegali lasu.

Jeszcze jeden jeździec przejechał szybko przez wieś. Był to pan Święcki. Gdy dojechał do lasu, ujrzał go tam Dydak Kostrzyca i mruknął:

— Ajeś tu koniec znalazł!
Bo trzeba wiedzieć, że Dydak był strasznie zły na

Święckiego. Podjudzany bowiem przez Kłosową, podejrzywał go o bałamucenie Saluty i chodził jak waryat prawie.

Teraz w lesie nastał sądny dzień. Krzyki okropne rozlegały się dokoła, słychać było chrzęst chrustu i gałęzi a przytem zerwał się wichur, od którego zaszumiało potężnie. Przerażone ptaki i zwierzęta leśne szukały ratunku. Tu stado wron wzbija się w obłoki, krzyząc przeraźliwie tam znów wiewiórka mknie z drzewa na drzewo... A gdyby jakiś człowiek znalazł się nagle w środku tego lasu, otoczony wrzaskliwym kołem i nie wiedząc, co to wszyst-

ko znaczy, struchlałby chyba ze strachu.

A właśnie w takim położeniu była Salusia. Jak wiadomo, poszła tam ona z Magdą na jagody. Aby nie przeskadzać sobie, dziewczęta się rozeszły. Teraz usłyszawszy krzyki zaganiaczy, Salusia wołała Magdy, ale napróżno. Bojaźliwa z natury, nie wiedziała, co począć. Sądziła że najgorzej tam, gdzie krzyczano, więc biegła nieszczęśliwa prosto na stanowiska myśliwych. Ani przez myśl jej jednak nie przeszło, że za chwilę może być zabita przez jakiego nierozważnego strzelca.

Aż tu rozlega się pierwszy wystrzał, potem drugi i wię-

cej... Salusia straciła przytomność. Biegała w rozpacz to w tę, to w inną stronę. Już słyszała trzask gałęzi, już spostrzegła przed sobą pędzącego wilka... Nagle świsnęło coś już przy niej. Dziewczyna wydała krzyk przeraźliwy i padła bez czucia.

Stało się to blisko Święckiego. Ten na krzyk kobiecy rzucił się naprzód i spostrzegł na ziemi leżącą Salusią, a obok niej przestrzelony i podziurawiony jak rzeszoto koszyk od jagód.

Kiedy Święcki wynosił z pomiędzy zarośli zemdłałą od przestrchu Salusią, usłyszał krzyk:

— Stój! oddaj mi ją!

Patrzy, to Dydak. Ten spotkał był Magdę i dowiedział się od niej, że Jasiewiczówna w lesie. Biegał więc, szukając jej.

— Oddaj ją! — powtórzył pieniać się.

Święcki zniecierpliwiony, grubijaństwem Dydaka, stanął i zawołał:

— Postąp jeszcze krok, to ci wypalę w łeb, jak psu!

Dydak nie był tchórzem, ale swe życie cenił, zaniechał więc odbierania kochanej dziewczyny. Ale też poprzyśiął zemstę śmiertelną i z tem odszedł.

Święcki tymczasem zaczerpnął wody z pobliskiego tuż obok strumyka, ocucił Salkę

i posłał kogoś do wsi po furmankę.

V. Zamiary Dydaka.

W Zawadach dowiedziano się niebawem o przygodzie Salusi. Do Szymona gromadziło się coraz więcej ciekawych. Przyszedł też i Dydak z grubym kijem w ręku; stanął przy oknie ponury i czekał Święckiego.

— Wiecie, panie Dworzeczki, — mówił stroskany Szymon, — ten mruk może zrobić awanturę.

— Właśnie myślę, w jaki sposób go się ztąd pozbyć — odrzekł Dworzeczki.

I to powiedziawszy, wyszedł do drugiej izby, otworzył swój tłumok, który miał

pozostawiony u Szymonów, wyjął jakieś szkło w ramach, zdaje się lustro, wyciągnął z jednego boku ramek kółko do wieszania i wbił je z innej strony. Potem wrócił do pierwszej izby, powiesił lustro nieznacznie na ścianie, a sam usiadł przy stole, i wpatrywał się w twarz Dydaka. Ten spostrzegł to i spojrzął na Dworzeckiego, który spuszczaając w dół oczy jakoś dziwnie ruszył ramionami.

Dydakowi wszystka krew uderzyła do głowy. Zaciekało go, co takiego ma na twarzy, że mu się Dworzecki tak przygląda. Nagle spostrzegł lustro, więc zbliża się ku niemu i patrzy. Ale w tej-

że chwili cofnął się z przerażenia, zobaczył bowiem, że ma pod nosem tylko jeden wąs, a nos jest jakoś niżej, niż potrzeba.

Lustro to było zrobione ze złego, nierównego szkła, a bokiem do góry przewrocone, szpeciło więc twarz okropnie.

Dydak jednak nie poznał się na tem, bo nie wiedział, że może być lustro tak fałszywe. Stało mu więc zaraz w myśli, że go pewnikiem ktoś oczarował. A któżby to potrafił, jak nie Kłosowa...

Znowu spojrzął Dydak w lustro i spostrzegł, że drugi wąs wyrasta mu z pod ucha, jeszcze sobie nie wierzył, więc sięgnął ręką ku twarzy,

aby przekonać się, czy mo o-
bydwa wasy. Ale dotknął nie
tam, gdzie było trzeba, bo lu-
stro ciągle go oszukiwało.
Nadał się więc jeszcze gorzej,
skrzywił straszliwie i wście-
kły z gniewu wyszedł spiesz-
nie na ulicę. Podążał w stro-
nę folwarku Święckiego. Ro-
biło się już ciemno na świe-
cie. Usiadł przy drodze i my-
ślał długo, a wreszcie za-
wołał:

— Zabiję i Święckiego i
Kłosową!

Wtem nagle uczuł, że ktoś
dotknął jego ramienia. Więc
zerwał się i wrzasnął:

— Kto tu?

— Nic, to ja, twój przyja-
ciel, Dworzecki; mogę ci dać
dobrą radę.

— Ja sam sobie dam radę!
— odrzekł Dydak.

— Ale zabijać jest niebezpiecznie... pamiętaj! — ostrzega Dworzecki.

— Niech tam sobie! Nie daruję! Pójdę do kryminału, ale zabiję.

— Ale idąc do kryminału, pożegnasz się raz na zawsze z Salusią. Czyż nie lepiej ci i swoje zrobić i mieć Salusię.

— A to jak? — spytał ciekawie Dydak.

— Ot, chodźmy napowrót do wsi, to ci po drodze powiem — rzekł Dworzecki.

Więc szli obaj zwolna.

— To jakże zrobić? Niech pan doradzi, prosił Dydak.

— Jak?... Oto by trzeba znowu zrobić obławę. Szedł-

byś i ty ze strzelbą, schowałbyś się w krzak jaki, blisko Święckiego i zemsta byłaby gotowa, a każdyby sądził, że to był tylko taki wypadek nieszczęśliwy.

Spodobala się Dydakowi ta rada, więc pyta, jakim sposobem zrobić obławę.

— Mam ja taką dużą skórę niedźwiedzią — rzecze Dworzecki, — ty się w nią odziejiesz którego dnia wieczorem i przebiegniesz w lesie mimo parobka Święckiego, gdy będzie wracał tamtędy. Parobek da znać swemu panu, że wilk, czy niedźwiedź jest w lesie, to i zrobią obławę.

Po takiej umowie rozeszli się.

VI. Masz tobie zemstę!

W trzy dni po obławie Dworzecki i Dydak zeszli się o zmroku w lesie koło rzeki płynącej o kilkadziesiąt kroków od drogi. Dworzecki pośpiesznie zaczął stroić Dydaka w skórę niedźwiedzia, a kiedy skończył, rzekł:

— Stój więc tu, a jak zobaczysz parobka, przebiegnij mu drogę na czterech nogach.

Ja spieszę do domu, żeby nie domyślili się czego.

Niezadługo Dydak zobaczył, że idzie dwóch parobków. Wyskoczył z za krzaka i sunie prosto na nich. Zrazu ci uciekali, ale jakoś zwolna; gdy zaś napastnik był już blisko, zaczęli go bić gwałto-

wnie z obu stron żelaznemi pętami i krzyczeć:

— Ratujcie!... niedźwiedź
... ratujcie!...

Dydak dałby radę obydwom, bo był odważny i silny. Ale bał się okropnie, żeby go nie poznali. Cofał się tedy tyłem, udając, że mruczy po niedźwiedziemu, a parobcy go wciąż młócili.

— Nie uciekaj tylko! —
krzyczał jeden z nich do drugiego, niby ze strachu, — nie uciekaj, bo ta bestya zje nas!

Dydak nie miał nawet czasu obejrzeć się, a wreszcie, przyparty do wysokiego brzegu rzeki, oberwał się nieszczęśliwy i spadł z bryłą ziemi w wodę. Parobcy zaś tyl-

ko wciąż krzyczą i ciskają w niego grudami ziemi.

Położenie było okropne. Niedosyć, że zbity, że zmokły do ostatniej nitki, ale i teraz jeszcze musiał udawać niedźwiedzia, brodząc na czterech łapach po rzece.

Uciekł wreszcie na drugi brzeg rzeki i schował się w zarośla. Gdy się doczekał, że parobcy odeszli, zrzucił ze siebie skórę i poszedł do domu. A był tak obolały i przygnębiony, że nie kłął nawet i nie był w stanie domyśleć się, z czyjego powodu mu taki poczęstunek urządzono. Kiedy zaś przypomniał sobie, że Dworzecki wyraźnie powiedział, przebiegnij parobkowi drogę, to aż prawie palce

gryzł sobie ze złości, że inaczej postąpił.

W parę dni później mówiono we wsi, że Dydak leży chory, ale o przyczynie tej choroby nikt nie wiedział, oprócz jednego tylko Dworzeckiego. Figlem tym nasz bosy pan dobrze się zasłużył, bo uchronił od nieszczęścia dwóch ludzi: Święckiego od śmierci, a Dydaka od kryminału. Przytem Dydak za swą głupią mściwość dobrą karę otrzymał.

VII. Przygoda Dworzeckiego.

W parę tygodni później w niedzielę było u Jasiewiczów dużo gości.

Wyprawiano zaręczyny Salusi. Przy dużym stole siedzieli: Dworzecki, Święcki, Jasiewicz, sołtys Kapuściński i wielu innych gospodarzy. Saluta Dworzeckiemu coś szeptała na ucho, a tymczasem Kłosowa rej wodziła:

— Oho, żeby Dydak nie zachorował tak ciężko, toby nie dał sprzątnąć sobie z przed nosa dziewczki — mówiła.

— Et, toć przecie Saluta nie chciała go — przerwał Kapuściński.

— Dajta pokój, kumie! Jakby pana nie stało, poszłaby za chłopą.

Dworzecki podniósł się z miejsca, a dobywszy z zana drza gazetę, czytał niby, a

tymczasem przez wierzch gazety spoglądał na Kłosową.

OGŁOSZENIE!

Kto ma do sprzedania
babski język albo
do statków zmywania
wiecheć razem z babą,
to niechaj przysyła
do Warszawy, proszę,
a dostanie siła,
bo aż po dwa grosze.

Słuchała Kłosowa tego ogłoszenia, coraz bardziej wytrzeszczając oczy, a kiedy zrozumiała, że to o nią idzie, cisnęła na stół trzymany w rękę nóż i wybiegła.

Śmiali się wszyscy biorąc się za boki, a Kapuściński rzekł.

— To za długi język! Oł i w Warszawie za babę z takim językiem trzech groszy nie dadzą, jeno tylko dwa.

• — Ale, ale, panie Dworzecki! — odzywa się Święcki, — przyrzekłeś opowiedzieć, w jaki sposób zostałeś bosym panem.

Nalegali i inni, więc Dworzecki zaczął opowiadać:

— Niezadługo obejmię obowiązek w Gnieździskach. Wybrałem się właśnie tam w drogę, żeby obejrzeć przyszłe miejsce, ale że czasu mam dosyć, a wydawać pieniędzy na furmanki nie potrzebuję, bo mam parę własnych zdrowych koni, więc powędrowałem sobie piechotą. Miałem iść prosto, nie

wstępując tu do Zawad, boć to kilka wiorst w bok z drogi. Ale wydarzyła mi się przygoda, po której ot zboczyłem do znajomych, żeby butów pożyczyć.

— Cha-cha-cha! — roześmieli się ludzie, a Dworzeczki dalej mówił:

— Wszak mię tu znacie, że umiem się gimnastykować, czyli różne łamańce wyprawiać, a jak dobry humor, to i różne figle lubię. Otóż idę ja sobie przez tę tam kolonię niemiecką, a tu kilku parobków próbuje, który wyżej podskoczy, to znów koziołki przewracają. Wzięła mnie ochota wdać się z nimi w rozmowę. Potem pokazałem im jedyną sztukę, drugą, a oni

próbowali po mnie to samo, i szło jako tako. Byliśmy przy tym domu, co tam go teraz budują. U góry na belkach był drąg położony, więc przyszło mi do głowy pokazać im sztukę, którą nie każdy potrafi. Podskoczyłem, złapałem się za ów drążek, założyłem na niego nogę i za stopę się wzięwszy, puściłem się młynka. Strasznie się to moim chłopcom podobało.

Już odczepić się od nich nie mogłem; każdy prosił, żeby go wpierw nauczyć. Wiedziałem, że nic z tego nie będzie, bo nie potrafią. No, ale się uparli. I w końcu znierpliwili mnie swem natrećstwem, a to tembardziej, że popychając przez zbytki,

jeden drugiego i mnie popychać zaczęli, co nie było wcale grzecznie.

— No czekajcież — powiadam — nauczę was wszystkich razem. Siadajcie tylko najpierw na konia. — Byli posłuszni: wgramolili się na drąg i siedzą. Wtedy popętałem im nogi i kazałem powieszzać się głowami na dół. A kiedy wisieli już jak barany w rzeźni, rzekłem: — uczcież się teraz gimnastyki, a ja muszę iść dalej, żeby wi-ja muszę iść dalej, bo już późno. — I odszedłem. Ale zatrzymałem się opodal, żeby widzieć, co z tego będzie. Naprawdę miałem zamiar wrócić do nich i porozpęty-

wać, gdyby sami sobie rady nie dali.

Chłopcy próbują, ale co się który ruszy, to wtedy rym na dół i z rozpędu głową o głowę swego sąsiada uderza. Zaczęli się z tego kłócić: — No, Walek nie bij! — A bodaj cię choroba, Pietrek!

Szamotali się, krzyczeli, zaczęli wreszcie wołać o pomoc. Oglądam się, aż tu ktoś do nich idzie. Kiedy tak, — myślę sobie, — to ja tu już niepotrzebny. Zawróciłem się i poszedłem. Niedaleka w lesie usiadłem sobie, żeby odpocząć, potem położyłem się na murawie, no, i zdzemmałem się na dobre.

Nagle budzę się i widzę, że dwóch z moich uczniów gim-

nastyki wiąże mi nogi powrozem. Krzyczę więc groźnie: — Co myślicie robić nieponie? Co macie za prawo? — Oho bratku! będziesz dyndał i ty, — odpowiedzieli.

Tam do kata! — myślę, — tam się wykierował. Oni tedy wciągnęli mnie między dwa drzewa tak wysoko, jak mógł sięgnąć. Już wisiałem za nogi, szczęście tylko, że nie za gardło. A mieli przywiązać mnie jeszcze do drugiego drzewa za rękę.

— Chłopcy, — rzekłem — puście mnie, a dam wam takiego proszku, którym można złocić pierścionki, nawet pieniądze można z tego proszku robić. Wyjmcie mi go

tylko z tej kieszeni. — Wyjęli i patrzą. A był tam proszek perski na pchły. Jeden z chłopców rozwijał papier z proszkiem, a drugi trzymał mnie za ręce, gdyż puszczać nie mieli zamiaru. Teraz trzy nasze głowy były tuż jedna przy drugiej. Zamykam tedy oczy i dmuchnąłem z całej siły w papier. W jednej chwili miałem już ręce wolne. Natychmiast przewróciłem się na piersi, chwyciłem się za gałęzie tuż stojącego drzewa i starałem się wyciągnąć nogi z powrozu. Ale jakem się zaczął mocować, wyciągnąłem nogi z butów, które pozostały przywiązane do drzewa. A moi chłopcy wili się po trawie, tracąc oczy i wrze-

szczać, jak najęci. — Hej, chłopcy! — rzekłem wesolo, — patrzcie tylko, pokażę wam jeszcze jedną tęgą sztukę. — Ale oni jakoś nie byli ciekawi. — No, no. — mówię — nie wam się nie stanie! wszak i pchła tylko upija się od tego proszku.

Aż tu patrzę — drogą biegnie reszta moich uczni gimnastyki. Oj! może być kiepsko.... myślę sobie. I nie miałem już czasu myśleć dalej. Nogi za pas, choć bose, a buty razem ze skarpetkami musiałem zostawić wiszące. No i zamiast iść do Gnieździszek, przybyłem tu do was, żeby butów na dalszą drogę pożyczyć. A teraz, jak widzicie, mam już nie tylko

buty, ale i moją przyszłą go-
sposię.

ZAKOŃCZENIE.

Zaraz po wyjściu zapowie-
dzi odbyło się u Jasiewiczów
wesele. Sałusia wyszła za
mąż za pana Dworzeckiego.

Dydak Kostrzyca zaś od
czasu swojej przygody w nie-
dźwiedziej skórze stał się ła-
godnym, jak baranek i w pa-
rę miesięcy po weselu Dwo-
rzeckiego ożenił się z Magdą
Kłósówną.

. A. L.





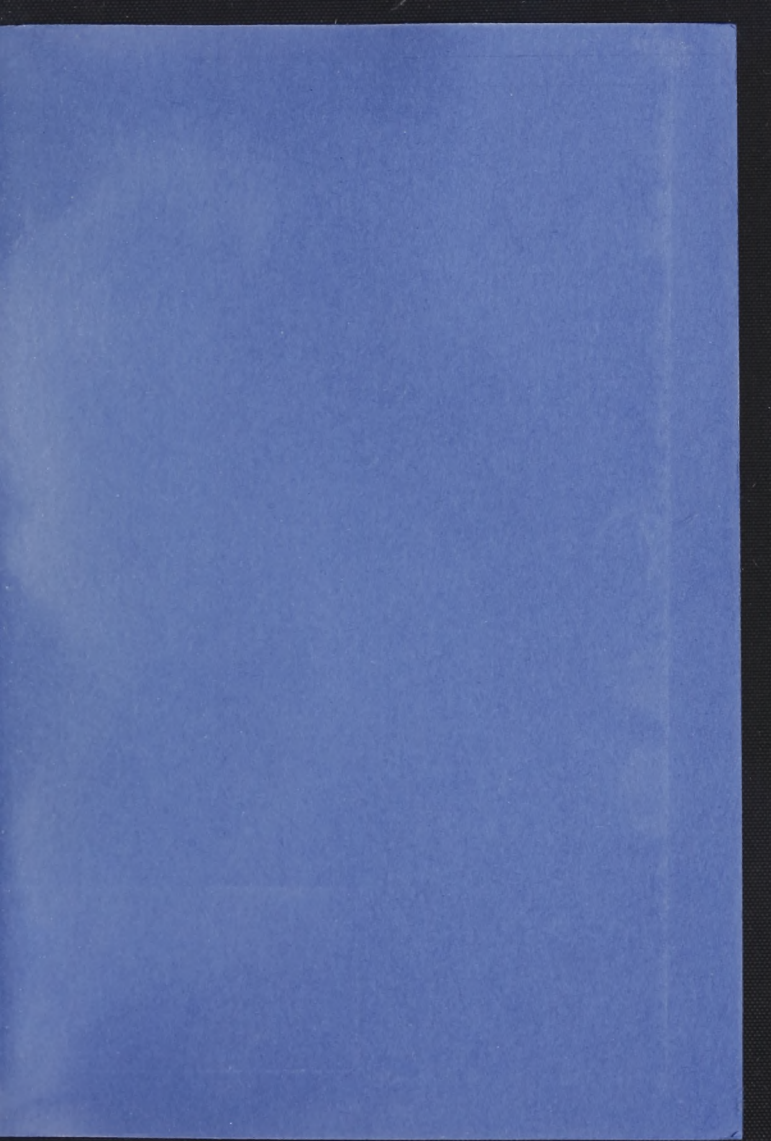
Z. M. Legutko
New York, N.Y.
- 80.000. -

BIBLIOTEKA
BN
WARSZAWA

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001005139318





1474307



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001005139318